

MARIE LU

GWIAZDY

*i*

CIEŃ

PRZEŁOŻYŁA: ZUZANNA BYCZEK



Tytuł oryginału: STARS AND SMOKE

Copyright © 2023 by Xiwei Lu.  
All rights reserved.

Jacket illustration © 2023 by Jessica Cruickshank  
Jacket design by Aurora Parlagreco

Copyright for the Polish translation © 2023 by Zuzanna Byczek

REDAKCJA: Justyna Charęza  
KOREKTA: Magdalena Magiera, Renata Kuk  
SKŁAD I ŁAMANIE: Arkadiusz Zawadzki/Aureusart  
OPRACOWANIE GRAFICZNE POLSKIEJ OKŁADKI:  
Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-243-6

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:  
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.  
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a  
01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)  
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)  
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)  
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)  
[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

*Dla Was, moi Czytelnicy.*

*Dziękuję za miłość i pociechę, które dajecie mi od tylu lat.  
Mam nadzieję, że ta książka dotrzyma Wam towarzystwa, tak  
jak Wy dotrzymujecie go mnie, i że w przyszłości podzielimy się  
jeszcze niejedną historią.*





## ZAPIS Z OPERACJI

---

**AGENT A:** Winter Young?

**AGENT B:** Zgadza się.

**AGENT A:** Powiedz, że żartujesz.

**AGENT B:** Myślisz, że da radę?

**AGENT A:** To gwiazda popu, ██████.

**AGENT B:** Korekta: to największa megagwiazda na świecie.

**AGENT A:** Subtelne rozróżnienia toleruję tylko w piątki.

**AGENT B:** Nie smęć, ██████. Wymień lepszą przykrywkę niż megagwiazda. Ten chłopak jest dokładnie tym, czego potrzeba naszej operacji.

**AGENT A:** Dlaczego? Bo potrafi zrobić przewrót do tyłu?

**AGENT B:** Bo tylko on może nas wprowadzić do środka.

**AGENT A:** Nie ma zielonego pojęcia o naszej pracy!

**AGENT B:** To chyba dobrze? Nasi agenci są niekonwencjonalni.

**AGENT A:** Chodzi mi o to, że on raczej nie poradzi sobie z tego typu zadaniem.

**AGENT B:** Cóż, właściwie nie mamy innej opcji.

**AGENT A:** CIA nie spodoba się ten pomysł.

**AGENT B:** Jesteśmy ██████. Nigdy nie podobają im się nasze pomysły, a jednak zawsze są chętni zawrzeć umowę. Zabawne, nie?

**AGENT A:** Boki zrywać.

**AGENT B:** Czy to jest błogosławieństwo?

**AGENT A:** Niech będzie. Ale masz u mnie dług.

**AGENT B:** Ile tym razem?

**AGENT A:** Najlepsza restauracja w mieście.

**AGENT B:** Orleana?

**AGENT A:** Naka.

**AGENT B:** Słuchaj, jeśli uda mi się zdobyć rezerwację  
w Nace, to rzucam robotę.

**AGENT A:** Jeśli Winter Young sobie poradzi, to ja też  
rzucam.

# 1

## Ci, którzy rodzą obsesję

Samochód nie wyróżniał się niczym szczególnym. Krążył po parkingu w niespiesznym tempie, światło latarni ulicznych w hipnotyzującym rytmie ciepło pasmami jego gładką powierzchnię.

Odróżniały go jedynie dwa czarne SUV-y jadące za nim – pełne ochroniarzy. Minikamper niemal bezgłośnie podjechał pod stadion od tyłu, by ominąć ustawione w przedniej części barierki, przy których już zgromadził się tłum dziewięćdziesięciu tysięcy fanów.

Za przyciemnianymi szybami pierwszego samochodu siedziała smukła postać w zamysłonej pozie, z podbródkiem opartym na dłoni, z nogą niedbale założoną na nogę, obserwująca kłębiący się tłum.

Na pierwszy rzut oka nikt by nie powiedział, że chłopak ma na sobie luksusowe ciuchy. Czarny dres bez widocznego logo wyglądał zwyczajnie. Ale bliższe oględziny ujawniłyby strój dobrany bardzo starannie, ręcznie szyte detale wzdłuż szwów, doskonałą jakość robionej na zamówienie tkaniny, a także cienkie obrączki na palcach. Jedną wysadzaną maleńkimi czarnymi brylantami, drugą z platyny, ozdobioną logo artysty – stylizowaną główką królika z uszami w kształcie połówek złamanego serca. Stroju dopełniały ulubione sneakersy, urodzinowy prezent od domu Gucci dla stałego klienta, oraz awiatory z różowymi szklami, które w ciągu godziny od chwili uwiecznienia na zdjęciach zostaną z pewnością wyprzedane na całym świecie.

Nawet jeśli ubranie raczej nie przyciągało uwagi, to cała reszta już tak.

Winter Young – najślynniejsza gwiazda muzyki popularnej w skali całego globu, chłopak, o którym mówili wszyscy – był tak piękny, że aż wydawał się nieprawdziwy. Roztaczał promienną aurę, wobec której nikt nie mógł przejść obojętnie: stylowo potargane włosy tak intensywnie czarne, że w świetle połyskiwały granatem, na przedramieniu geometryczne tatuaże, które wieńczył wizerunek węża oplatającego lewy nadgarstek, wąskie ciemne oczy ocienione długimi czarnymi rzęsami, tajemnicza gracia ruchów, żywa i wyrazista mimika, dzięki której potrafił w ułamku sekundy zmienić wyraz twarzy z nieśmiałego na szelmowski. Ale to nie wszystko. Istnieje wielu obiektywnie pięknych ludzi, ale tylko nieliczni, gwiazdy obdarzone czymś nieokreślonym, świecą blaskiem tak jasnym, że potrafią rodzić obsesję. Wystarczy, że świat raz ujrzy taką osobę, a poruszy niebo i ziemię, by powtórzyć to cudowne doznanie.

Teraz Winter patrzył w okno na koraliki deszczu pokrywające szybę i załamujące światło w miliony kolorów. Nucił sobie pod nosem zaczątek melodii, intensywnie myśląc nad nowym utworem. Siedząca obok menadżerka stuknęła w ekran telefonu.

– Jeśli Alice przełoży jutrzejszą krótką sesję foto na szóstą rano, wystarczy ci kwadrans na śniadanie około piątej? – zapytała. – Milczenie oznacza zgodę. Nie zapomnij oddzwonić do prezeski Elevate. Pani Acombe ma dla ciebie propozycję wylansowania nowych sneakersów, które wkrótce wejdą na rynek. A... i gdybyś wolał zredukować liczbę występów w Nowym Jorku, lepiej powiedz od razu. – Światła stadionu przesączaające się przez przyciemniane szyby nadawały zielonkawy odcień jej ciemnej skórze i szkłom okularów. W głosie, stłumionym przez szum deszczu w tle, pobrzmiwał ton osoby przyzwyczajonej wygrywać wszelkie dysputy z podopiecznym. – Trasa Ricky'ego Bouleta pokrywa się z twoimi występami, a naprawdę wolałabym nie tracić cennej godziny swojego życia na kłótnie z jego menadżerem i tłumaczenia, dlacze-



go. – Wywróciła oczami. Po chwili dodała z emfazą: – „Kradniemy mu weekend”.

– Robimy wszystkie – powiedział Winter do szyby.

Claire rzuciła mu sceptyczne spojrzenie znad telefonu.

– Żaden artysta nie gra cztery dni z rzędu w Nowym Jorku.

Winter, nie patrząc na nią, wyciągnął uniesioną rękę.

– Wiesz przecież, że wyprzedamy wszystkie cztery.

Odpowiedziała na jego piąteczkę szeregiem drobnych pacnięć.

– Chodzi mi o twoje zdrowie, rzecz jasna, a nie o gwiazdorską potęgę.

Nie mam zamiaru znowu patrzeć, jak padasz nieprzytomny na scenie.

Winter wreszcie obrócił się w jej stronę z kwaśnym uśmiechem.

– Pięć lat i nadal zero wiary we mnie.

– Zero przecinek zero. Zjadłeś chociaż lunch?

– Trzy churrosy się liczą?

Zrobiła surową minę i szturchnęła butem jego łydkę.

– Winterze Young, Specjalnie załatwiłam ci kanapki, żebyś nie jadł tylko pustych kalorii.

Położył głowę na oparciu fotela i zamknął oczy.

– Jak śmiesz. Churrosy stanowią idealną dietę, nie chcę słyszeć żadnych więcej bluźnierstw na ich temat.

Westchnęła jak ktoś przywykły do długotrwałego cierpienia.

– Bardzo bym chciała, żebyś przestał się przepracowywać i przynajmniej raz zadbał o siebie. Poszedł na porządny spacer. Na randkę. Przeżył przynajmniej przelotny romans. Chcesz, żebym uderzyła do czyjegoś agenta?

Poczuł znużenie. Już to przerabiali, nie miał ochoty znowu się tłumaczyć. Po zbyt wielu pustych nocach znienawidził przelotne romanse. A jeśli chodzi o poważniejszy związek, wzdrygał się na samą myśl, że miałby wciągać kogoś w swoje bagno, bo z tym nieuchronnie wiązało się dłuższe randkowanie z Winterem Youngiem. Podczas ostatniego zerwania jego ówczesna dziewczyna stwierdziła, że przez cały ten medialny cyrk jest nierandkowlany.

Ale w odpowiedzi na tyradę Claire tylko wzruszył ramionami i zawyrokował:

– Nie ma nikogo interesującego.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś najbardziej interesującą osobą na świecie?

– Dopóki nie znajdziesz dowodów na obalenie tej tezy.

– Wydaje mi się, że to już się stało, w tym samochodzie.

Winter przycisnął rękę do serca gestem udawanego cierpienia.

– Poza tym – ciągnęła – nie chodzi o to, czy ktoś jest interesujący. Chodzi o darmową reklamę i odrobinę zabawy dla was obojga.

– Serio? A ja myślałem, że o miłość.

– Och, Winter. – Claire pokręciła głową. – Dziewiętnaście lat i już porzucił romansowanie.

– Uczyłem się od najlepszych. Widujesz się z kimś od czasu, gdy zerwałaś z tą redaktorką kolorowego magazynu?

Claire prychnęła:

– Ściśle rzecz biorąc, nie zerwałam z Susan.

Winter rzucił jej znaczące spojrzenie.

– Jasne. Po prostu od dwóch lat nie rozmawiacie.

– Nie zmieniaj tematu. Próbujemy tu naprawić twoje życie miłosne.

Posłał jej figlarny uśmiešek.

– Ale ja już znalazłem miłość. Kocham ciebie.

Pomachała mu nonszalancko ręką przed twarzą.

– Widzisz ten powalający urok? Aż bucha. Czemu go nie spożytkujesz?

Winter zaśmiał się mimo woli. Kiedyś był tylko niepopularnym, nieśmiałym pierwszakiem o tyczkowatych kończynach i kiepskiej fryzurze, który spędzał przerwy w samotności, a po lekcjach ćwiczył układy taneczne w pustej sali gimnastycznej, zapisywał melodie i snuł wielkie marzenia. Potem dostał się do zespołu tancerzy towarzyszących na scenie Ricky'emu Bouletowi – w tamtych czasach najgorętszej gwiazdki pop na całym świecie. Na pierwszym koncercie zrobił takie show, że

nagranie dokumentujące owo wydarzenie w ciągu jednej nocy stało się wiralem.

Claire, wówczas ambitna współpracowniczka w spółce zarządzającej, natychmiast dostrzegła w nim potencjał i zatelefonowała zaraz następnego ranka, by go sobie zaklepać, zanim inni wpadną na ten pomysł. Winter był zdobyczą dekady, Claire kompasem jego sukcesu. Razem rośli w siłę, w miarę jak Wintera katapultowało z pozycji początkującego tancerza scenicznego przez pierwszy kontrakt z wytwórnią płytową na szczyty najwspanialszej kariery w dziejach muzyki pop.

– Kiedyś będziesz sławny – rzucił raz żartem jego starszy brat Artie, gdy Winter miał zaledwie dwanaście lat i dopiero zaczynał pisać piosenki.

Winter tylko się roześmiał.

– Optymista z ciebie.

– Optymizm to moja ukryta moc – odparł Artie z uśmiechem. A potem spojrzął mu prosto w oczy i dodał: – Masz w sobie taki niepokój. Przekonanie, że gdzieś tam czeka na ciebie coś większego i lepszego.

Palce Wintera bezwiednie przebiegały po ekranie telefonu. Dopiero po chwili zorientował się, że raz po raz blokuje go i odblokowuje, wybiera numer brata z kontaktów i zaraz znowu go chowa.

Artemis Young.

Wpatrując się w ekran, przypomniał sobie ostatni dzień, który razem spędzili. Dwóch braci, dwanaście lat różnicy, siedzących na skraju pomostu, zapatrzonych na zachód słońca nad oceanem. Sól i wiatr mierzwiły im włosy, niebieskie i żółte światła diabelskiego młyna w oddali odbijały się na ich twarzach. Winter nadal czuł zapach oceanu, potrafił przywołać widok twarzy brata z profilu i przepełniające go pragnienie, żeby Artie nie musiał wyjeżdżać następnego ranka.

– Ale nie szukaj przez całe życie, okej? – rzucił Artie. Miał okrągłe ciemne oczy, nie tak wąskie jak Winter, a włosy faliste i gęste, sięgające brwi. Byli do siebie tak niepodobni, że chyba nikt by nie odgadł, że są spokrewnieni.

– Co masz na myśli? – zapytał Winter.

– Chodzi mi o to, że czasem człowiek już ma to, czego pragnie. Tylko jeszcze o tym nie wie.

Winter pokiwiał głową, chociaż wcale się z tym nie zgadzał. Artie mógł sobie tak mówić. Był zaplanowanym, ukochanym synem z pierwszego małżeństwa mamy. A Winter był dzieckiem podstarzałych rodziców, pomyłką z małżeństwa numer dwa. Może dlatego Artie uważał, że pewnego dnia Winter będzie sławny. Wiedział, że jego brat łaknie uwagi otoczenia, że nieustannie pragnie miłości i że gotów jest jej szukać choćby na krańcu świata. Artie rozumiał i współczuł.

Wtedy Winter zbył jego słowa wzruszeniem ramion.

– Chcę być taki jak ty – powiedział.

Artie zaśmiał się tym swoim głębokim, chrapliwym śmiechem, który Winter zawsze próbował naśladować.

– Bądź sobą, Winter. Bądź dobry.

Artie pracował dla Korpusu Pokoju i zginął. Winter stał się płytkim celebrytą i żył dalej. Ostatecznie dobro nigdy nie zwycięża.

Wspomnienie zbladło wraz z fragmentami muzyki, którą tworzył w głowie. Odłożył telefon i potrząsnął ręką. Ale palce nadal go świerzbiły. Sam nie wiedział, dlaczego nie wykasował numeru brata. Artie odszedł. Nawet gdyby ktoś odebrał, byłaby to obca osoba.

W końcu samochód zatrzymał się przy tylnym wejściu na stadion. Przy barierkach już stała ekipa ochroniarzy, co jednak nie zniechęciło tłumu wielbicieli ściśniętych po obu stronach odgradzonego przejścia. Na oko były tu setki ludzi. Rozpoznał niektóre transparenty, wcześniej tego dnia ci fani przyszli na próbę dźwięku.

– Głowa do góry – powiedziała Claire. – Rzucisz ich na kolana.

Oboje wyprostowali się na siedzeniu. Winter odsunął od siebie niewygodne myśli, schował je jak naddarty brzeg ubrania, przypomniał sobie, gdzie jest i czego się od niego oczekuje. Głęboko odechnął i puścił oczko do Claire.

– Jak zwykle – odparł.

Przybili żółwika. Jeden z ochroniarzy otworzył drzwi, Claire podniosła się z fotela i wysiadła.

Tłum powitał ją radosnymi okrzykami, dobrze wiedząc, co oznacza jej widok. A kiedy wysiadł Winter, wiwaty zmieniły się w eksplozję dzikich wrzasków.

Dmuchięło mu w twarz zimnym deszczem. Zaczęły błyskać oślepiające flesze. Winter łaskawie spojrział na zgromadzonych i zobaczył morze telefonów zwróconych w jego stronę. Pośród chaotycznej wrzawy wybijały się gorączkowe pokrzykiwania:

– Winter! O Boże, o Boże, WINTER!

– WINTER!!!

– WINTER, TUTAJ!!!

– KOCHAM CIĘ, WINTER!!!

Wszyscy czekali od wielu godzin, włosy mieli całkiem mokre od deszczu. Energicznie machali do Wintera popędzanego przez ochroniarzy, a potem – gdy przyłożył palce do ust, by posłać szybkiego całusa – wydali dziki zbiorowy pisk.

W miarę jak kroczył przejściem, desperacko wyciągali w jego stronę plakaty, flamastry i dłonie do ściskania. Ochroniarze próbowali je odpychać, ale Winter podszedł do barierek, zmuszając całą świtę, żeby się zatrzymała i poczekała, aż złoży szybko kilka autografów. Właśnie miał się podpisać na plakacie jakiejś dziewczynki, gdy w tym samym momencie jeden z ochroniarzy stanowczo chwycił go za ramię.

– Idziemy dalej, panie Young – rzucił, kręcąc głową.

Winter posłał dziewczynce przepaszające spojrzenie i posłusznie dał się popchnąć w stronę tylnego wejścia. Deszcz i wrzaski urwały się w jednej sekundzie, gdy drzwi się za nim zamknęły.

Idąca przodem Claire zwolniła i popatrzyła na niego karcąco.

– Rozmawialiśmy już, że masz tego nie robić – powiedziała. – Wiem, twoim zdaniem to tylko kilka plakatów, ale chodzi o względy bezpieczeństwa.

Winter ściągnął brwi.

– Daj spokój. Stoją na deszczu od kilku godzin. Nie można by przynajmniej postawić im namiotu czy czegoś podobnego?

– Zajmę się tym – zawołała przez ramię, ruszając dalej korytarzem prowadzącym w stronę sceny.

Winter wyjął cienki notes z kieszeni spodni. Zabierał go ze sobą wszędzie – kolekcję szkiców tekstów i niedokończonych fragmentów melodii, słów, których brzmienie mu się spodobało, i refrenów, które chciał pokazać producentom. Szybko złożył podpis na pustej kartce, wyrwał ją i podał najbliższemu ochroniarzowi.

– Dla tej dziewczynki w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym – powiedział. – Proszę.

Ochroniarz uśmiechnął się zdawkowo, kiwnął głową i wziął kartkę.

Winter odprowadził go wzrokiem. Ścisnęło go w gardle. Jeszcze nie tak dawno temu poświęcał na rozmowy z fanami całe długie godziny, gawędził z każdym z osobna i czerpał z tych spotkań energię. Nie pamiętał, kiedy dokładnie te spotkania zmieniły się w bezduszną, pospieszną rutynę. Zaczekał, aż ochroniarz zniknie za rogiem i dopiero wtedy ruszył dalej za Claire.

Weszli do poczekalni dla artystów, w której tłoczyły się krzesła charakterystyczne i stół zawalony różnymi przekąskami. Tam Claire wreszcie zostawiła go samego. Porozciągał się przez chwilę, aż poczuł, że mięśnie ma rozgrzane i rozluźnione. Bez większego przekonania pogrzebał w przekąskach. Burczało mu w brzuchu. Claire miała rację – powinien był zjeść coś więcej niż churrosy, ale teraz było już za późno, nie chciał dostać kolki.

Właśnie zdołał oderwać spojrzenie od półmiska z kanapkami z croissantów, gdy ktoś dał mu brutalnego kuksańca pod żebra. Jęknął i spojrzał w bok. Winowajcą okazał się przystojny śniady chłopak w opasce przytrzymującej burzę gęstych ciemnych kędziorów, tęsknie wpatrzony w talerz z ciasteczkami. Leo.

– Skoro nic nie bierzesz – powiedział – to może chociaż się przesuniesz?

Winter wyrócił oczami i cofnął się o krok.

– Nie sądzisz, że rozsądniej byłoby jeść trochę wcześniej? Do występu została godzina.

Leo przypadł do stołu, chwycił ciastko, odgryzł połowę i dopiero wtedy odparł:

– Nie powinienesz mnie pouczać w kwestii jedzenia – stwierdził. Uniósł ręce, jakby chciał je wytrzeć w bluzę, ale chyba sobie przypomniał, że jest już w kostiumie i makijażu. Zawahał się, po czym wytarł ręce w wysokiego czarnego chłopaka, który właśnie przechodził obok. W Dameona.

Dameon ściągnął brwi.

– Serio?

Leo wzruszył ramionami.

– Jeszcze się nie przebrałeś.

– Ale to nie znaczy, że nie lubię tej koszulki. – Dameon zmierzył spojrzeniem tłustą plamę na rękawie i pokręcił głową, wprawiając w kołysanie długie dredy. Spojrzał na Wintera. Nawet tuż przed występem emanował kojącym spokojem. – Idę do sali prób. Chcesz przeciwiczyć układ jeszcze raz?

Winter z westchnieniem oderwał wzrok od przekąsek.

– Nie, zaraz muszę się przebrać. Ale wy idźcie.

Leo położył rękę na ramieniu Dameona.

– Ile jeszcze powtórek, zanim wreszcie będziesz zadowolony?

Dameon wzruszył ramionami.

– Dopiero jak przestaniesz się spóźniać o pół taktu. – Spojrzał jeszcze na Wintera i posłał mu uśmiech. – Do zobaczenia na scenie.

Winter pomachał i odprowadził ich wzrokiem. A potem zaczął się prawdziwy chaos. Charakteryzatorzy i styliści fruwali wokół niego, zmieniając zwykły codzienny strój na połyskliwą kreację sceniczną. Tymczasem stadion zaczął się zapęłniać. Mimo sporej odległości od widowni powietrze drżało od klaskania i skandowanych okrzyków, które od czasu do czasu urozmaicała fala radosnych wiwatów.

Wreszcie nadszedł sygnał do rozpoczęcia spektaklu. Ochroniarze rozstawili się po obu stronach, gdy Winter ruszył w kierunku sceny, poprawiając słuchawkę i niewielki mikrofon nagłowny sięgający do ust. Już czuł elektryczny puls widowni, rozpalający w nim ogień, wydobywający siłę, której jeszcze godzinę temu nawet nie przeczuwał. Jego chód nabrał pewności siebie, a młoda, niepewna wersja Wintera – tego sprzed wielu lat, siedzącego z bratem na pomoście – schowała się za starannie wypracowaną postać, którą oglądała reszta świata: uwodzicielski uśmiech, wyćwiczone zmrużenie ciemnych oczu, niedbały krok, hipnotyzująca gracia ruchów.

Muzyka brzmiała ogłuszająco, basy dudniły tak mocno, że podłoga drżała. Wrzaski fanów wznosiły się i opadały. Winter wśliznął się pod kratownicę pod sceną i bezgłośnie przemknął do wyznaczonego punktu. Przykucał, a obsługa błyskawicznie pozapinała go w kilka uprzęży. Posłusznie wykonywał kolejne polecenia: podnosił i opuszczał kończyny i sprawdzał, czy sprzęt na pewno działa, jak należy. Od lat ten sam proces, krok po kroku. Działał jak automat, nawet nie musiał przy tym myśleć.

W końcu zostawili go samego. Opuścił głowę, szykując się na wielką chwilę.

Rozległ się sygnał.

Platforma, na której czekał w przykłęku, podniosła się, przenosząc go na poziom sceny.

Widownia eksplodowała wiwatami. Nagle uprząże przypięte do nóg i ramion Wintera szarpnęły i wyniosły go wysoko do góry z jednoczesnym obrotem. Kiedy muzyka ucichła, uprząże zjechały w dół i Winter wylądował lekko na scenie przed grupą tancerzy, którzy nagle wynurzyli się zza ogromnej, oświetlonej neonowo rzeźby królika – logo Wintera.

Tłum zapiszczał z radości. Winter zamknął oczy i głęboko odechnął, zanurzył się w strumieniu miłości płynącej ku niemu z widowni. Właśnie tego tak naprawdę pragnął, tylko w takich chwilach czuł autentyczne, płomienne połączenie ze światem. To pragnienie pozostawało nienasycone.

Wysoko uniósł rękę.



– Jesteście gotowi!? – krzyknął co sił w płucach.

Świat odpowiedział dzikim wrzaskiem. Winter odchylił głowę do tyłu. Jego postać majaczyła jak duch pośród scenicznego dymu i mgieł. Zaczął się pierwszy układ.



Później występ jak zwykle przypominał mu zamazany film.

W chwili, gdy Winter znikł za sceną, obstało go kilkanaście osób z zespołu i obsługi. Gdy mu gratulowali i klepali po ramieniu, uśmiechał się drętwo i dziękował pracownikom odpinającym uprząże. Spowoliło go pokoncertowe oszołomienie, przygniotło go swoim ciężarem. Czuł drżenie w podłodze – publiczność wiwatowała jeszcze długo po jego zejściu ze sceny, grupki fanów wyśpiewywały utwory.

Świetnie wypadł. Ta świadomość go upajała, choć jednocześnie czuł, jak adrenalina odpływa z jego ciała, ustępując obezwładniającemu zmęczeniu. Szedł za ekipą tym samym korytarzem, którym kroczył w drugą stronę zaledwie parę godzin wcześniej, i z każdą chwilą ryk widowni coraz bardziej cichł, aż zmienił się w szum tła dla echa jego kroków.

Była z nim teraz Claire. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się zjawiała. Uśmiechała się, lecz z jej oczu wзираła troska. Wiedziała, jak Winter czuje się tuż po występie.

– To przejdzie do historii – powiedziała, zaciskając chłodne palce na jego ramieniu.

– Przyszła? – spytał.

Claire spojrzała na niego i pokręciła głową. Nie musiała pytać, wiedziała, że chodzi o jego matkę.

Kiwnął głową z nieodgadnioną miną.

– Mogłabyś wysłać kogoś, żeby sprawdził, czy jej samochód stoi na podjeździe, że jest w domu, bezpieczna i nie utknęła na lotnisku?

– Zajmę się tym – zapewniła Claire.

Nagle otoczyli ich tancerze wznoszący okrzyki radości. Minęli go Dameon i Leo, klaszcząc wysoko w powietrzu.

– Kolacja w twoim pokoju! – zawołał Leo. – Wykupimy całe zapasy szampana!

Dameon zachowywał się bardziej powściągliwie. Bacznie przypatrywał się Winterowi na swój spokojny, cichy sposób. Jakby dostrzegał jego emocje, tak jak zawsze odnotowywał wszystko, co się działo z Winterem, nigdy jednak nie komentował.

– Nie spiesz się! – rzucił.

Winter rzucił mu pełne wdzięczności spojrzenie. Kiedy Dameon i Leo odплыnęli wraz z falą ludzi zmierzających do tylnego wyjścia, Winter poszedł z Claire do poczekalni.

– Odpocznij chwilę na osobności – powiedziała. – Ale chciałabym cię stąd zabrać z dobrym zapasem czasu, zanim wpuszczymy ludzi. Maksymalnie dziesięć minut, okej?

Posłał jej uśmiech i wytarł czoło ręcznikiem. Nawet nie zarejestrował, kiedy ktoś wetknął mu go w rękę.

– Jasne.

Mocno chwyciła go za podbródek i delikatnie nim potrząsnęła.

– I zjedz coś, na litość boską.

– Obiecuję.

W końcu zostawiła go samego.

W poczekalni było już pusto. Machinalnie zaczął chodzić dookoła, mijając stoły i krzesła do charakteryzacji. Po wrzaskach dziesięcioletniego tłumu cisza sprawiała przytłaczające wrażenie.

Za jakąś godzinę pojawią się najświeższe wiadomości. Jak przebiegł koncert. Jak wyglądał Winter, co miał na sobie. Obok informacji o wojnach i protestach – spekulacje, ile tysięcy dolarów można będzie zgarnąć za odsprzedaż biletów na zbliżającą się trasę. Nowe plotki i pogłoski. A on zasiedzi się do późna przy kolacji i omówi z Dameonem i Leo najlepsze momenty tego wieczoru. Potem będzie leżał w łóżku, czekając na sen, samotny i niespokojny, czując słaby puls duszy, tłukącej się do rytmu bicia serca.

Oparł się o stolik, pochylił głowę. Spocone kosmyki opadły mu na czoło. Z jakiegoś powodu przypomniał sobie przemoczonych fanów,

czekających przy tylnym wejściu na jego przyjazd. I tamtą dziewczynkę, drżącą z zimna na deszczu, tylko po to, żeby dostać świstek papieru z jego bagrolem.

W głowie odezwały się echem słowa piosenki, które niedawno zapisał w notatniku.

**Co tu robie?**

**Co my wszyscy tutaj robimy?**

Ci ludzie przyszli go zobaczyć, oddali mu swoje ciężko zarobione pieniądze, ofiarowali mu jego magiczne życie. A co dostali w zamian? Kiedyś czuł, że daje im coś konkretnego – swoją muzykę, występy, własne serce. Coś, co pozwala im zapomnieć o wszelkich zmartwieniach. Teraz jednak odnosił wrażenie... cóż, sam nie wiedział. Ciągłe wywiady i grube bariery. Spotkania, prawnicy. Fani, którzy sądzili, że go kochają, ale wcale go nie znali. Niekończący się cykl rutynowych czynności: pobudka, makijaż, spotkanie. Poza. Recytowanie odpowiedzi na te same pytania. Te same uśmiechy do takich samych fotografii. Kolacja i sen w hotelowym pokoju.

A miłość, której tak potrzebował, by cieszyć się życiem, by w ogóle przetrwać, z każdym dniem stawała się jakby coraz bardziej odległa. Czy jego twórczość nadal była twórczością, wyrazem emocji? A może zmieniła się w biznes? Czy zasłużył na uwielbienie całego świata? Na tę miłość, której tak rozpaczliwie łaknął?

Nigdy nie miał pewności. Tak jak nigdy nie był pewien, czy matka w ogóle pamięta o jego istnieniu, czy aby nie pominie lekarstw, czy jest dumna z jego sukcesu, czy go kocha.

Tak jak nie wiedział, dlaczego to brat musiał umrzeć, a nie on.

„Ech, Winter”, powiedział kiedyś Artie po nieudanym przesłuchaniu, „nie musisz zdobyć sławy, żeby twoje życie się liczyło”.

Ale Winter nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Artie zginął, by uczynić świat lepszym. A co światu miał do zaofiarowania Winter?

Nagle poczuł, że dłużej tego nie zniesie. Haj towarzyszący występowi znikł bez śladu, zostało tylko potworne zmęczenie. Niepokój, zawsze czający się w jego wnętrzu, teraz dawał się mocno we znaki, ciągnął go w stronę jakiejś nieosiągalnej wersji Wintera, lepszej od tej prawdziwej.

Gdyby tylko mógł do niej dotrzeć, jego życie zyskałoby na wartości. Byłby szczęśliwy.

Ale nie mógł. Dlatego teraz marzył tylko o tym, żeby zaszyć się w pokoju hotelowym. Może daruje sobie kolację z chłopakami. Claire dała mu dziesięć minut, ale niecierpliwie spojrział na zegar na ścianie.

– Pięć minut – mruknął.

Wystarczy. Jak ją znał, samochody i tak już czekały. Wyprostował się i przejechał ręką po zmierzwionych włosach, po czym ruszył w głąb korytarza prowadzącego do wyjścia.

Ochroniarze jeszcze się nie zjawili, może było za wcześnie i czekali gdzieś na tyłach stadionu. Samotnie pokonał całą drogę do wąskich, nijakich bocznych drzwi.

Wyszedł na zimne, wilgotne, nocne powietrze. Tuż przy wejściu czekał lśniący czarny SUV. Kiedy Winter ruszył w jego stronę, drzwi otworzyły się przed nim automatycznie, ukazując pluszowe wnętrze.

Wśliznął się do środka z westchnieniem wdzięczności. Widać podczas koncertu Claire załatwiła lepsze auta. To miało przyciemniane szyby, na których wyświetlało się właśnie kojące nagranie z widokiem oceanu, poprzedni samochód z pewnością nie był wyposażony w takie luksusy. Nowe skórzane fotele podgrzano do przyjemnej temperatury.

Drzwi się zamknęły i samochód ruszył.

I nagle Winter uświadomił sobie, że coś tu się nie zgadza. Kobieta siedząca w ciemności obok niego to nie była Claire. Kierowcy też nie kojarzył.

Zamrugął.

– Czy ja aby nie wsiadłem nie do tego samochodu, co trzeba? – zapytał.

– Wręcz przeciwnie, dokładnie do tego, co trzeba – odparła kobieta.

I Winter już wiedział, że został porwany.

## Ci, którzy pozostają w cieniu

**P**róbował sobie tłumaczyć, że nie powinien wyciągać pochopnych wniosków. Nieraz, gdy bardzo się spieszył, zdarzało mu się wsiadać do czarnego SUV-a z nieznanym kierowcą. Claire nie zawsze miała czas poinformować go o szczegółach. Przez te lata zdążył się nauczyć, że ma wskakiwać do pierwszego z brzegu, a pytania zadawać później.

Może i tym razem istniało jakieś wytłumaczenie.

Ale coś mu nie pasowało w przypadku tego kierowcy i kobiety w nieskazitelnym kostiumie. Szósty zmysł dawał o sobie znać w postaci włosów zjeżonych na karku.

– Jedziemy do hotelu? – spytał.

Nie odpowiedzieli. Na szybach wciąż wyświetlały się pogodne widoki znad oceanu, tworząc iluzję podróży wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego. Tylko przednia szyba była przezroczysta. Zmierzali w stronę nie tego wyjazdu.

– Proszę zatrzymać samochód – powiedział.

Nadal zero reakcji.

Już wiedział, że jest w tarapatkach. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby kierowca zignorował jego polecenie. Ten jednak jechał dalej, ze wzrokiem utkwionym w bramkach wyjazdowych na odległym krańcu parkingu. Jego brwi, ciemne i wyraziste, nisko opadały na oczy, jakby zaraz miały całkiem je zakryć.

– Proszę zatrzymać samochód – powtórzył, tym razem ostrzej. – I natychmiast mnie wypuścić.

– Obawiam się, że nie możemy, proszę pana – odparł kierowca przez ramię. W świetle latarni ukazał się krótki zarost na jego brodzie.

„Porwali mnie. W końcu do tego doszło”. Ta myśl przemknęła mu przez głowę jak rzeka lodu. Zawsze istniało takie zagrożenie, będące także przyczyną paranoi Claire na punkcie bezpieczeństwa. Słyszał dudnienie krwi w uszach. Czy to dlatego nie czekał na niego ani jeden ochroniarz? Czy ci ludzie zrobili im krzywdę?

– Dlaczego? – spytał tak spokojnie, jak tylko potrafił. Jednocześnie przesunął dłonią po drzwiach, szukając zamka.

– Są automatycznie zamykane od strony kierowcy – wyjaśniła kobieta. Lekko musnęła brzeg niebieskiego hidżabu i utkwiała w Winterze obojętne, głęboko osadzone oczy.

Ręka Wintera znieruchomiła. Sięgnął po telefon, gotów wybrać numer alarmowy.

– Jeśli chodzi o okup – powiedział cicho – proszę się skontaktować z moją menadżerką. Ale ostrzegam, Claire nie będzie zachwycona, a wy nie chcecie jej wkurzyć, zapewniam.

– Okup nie będzie konieczny. Nie szukamy pieniędzy. – Kobieta ruchem głowy wskazała jego rękę trzymającą telefon. – Zbędne wysiłki. Tutaj i tak nie ma zasięgu. To zwykła RWS.

Dłoń Wintera gwałtownie zatrzymała się na ekranie.

– Że co?

Kobieta nonszalancko machnęła ręką.

– Rozmowa w samochodzie. Spotkanie. Zabierzemy panu tylko kilka minut.

Już nie przypominali porywaczy, może raczej... prawników? Winter spojrział na nią ze zmarszczonymi brwiami, coraz bardziej wściekły.

– Kilka minut? Co się dzieje? Kim jesteście?

Minęli już bramki stadionu i wyjechali na ulicę. Kobieta sięgnęła do kieszeni. Winter zastygł, zastanawiając się gorączkowo, czy zaraz będzie

musiał wyrwać jej broń z ręki – ale nagle kobieta wyciągnęła odznakę i uniosła klapkę, żeby pokazać swoje dane.

– Sauda Nazari, Panacea Group – powiedziała.

Winter pokręcił głową. Wciąż słyszał w uszach pulsowanie krwi. Zamrugał ze zdumieniem. Nadal nic nie rozumiał.

– Co takiego?

– Panacea Group. „Panacea” oznacza „rozwiązanie”...

– Wiem, co to znaczy – warknął. – Co to jest? Kim pani jest? Agentką CIA?

Kierowca prychnął.

– Blisko. Niezła próba.

Winter znów pokręcił głową. Czuł coraz większą dezorientację.

– CIA zatrudnia nas do zadań, których sami nie chcą wykonywać – wyjaśniła Sauda.

– Naprawdę nie mam ochoty na głupie żarciki.

Spojrzała na niego.

– Te oczy nie żartują, panie Young.

Odwzajemnił spojrzenie. Po chwili w końcu odwróciła wzrok i zapatrzyła się w przednią szybę. Kierowca westchnął.

– A nie mówiłem? – burknął z niezadowoleniem. – Jeszcze możemy zawrócić. Może wyrzucimy go z samochodu i znajdziemy kogoś innego?

– Daj mu trochę czasu, Niall. – Spojrzała na mężczyznę w lusterku wstecznym i posłała mu czarujący uśmiech. – Zrób to dla mnie, proszę.

Mruknął coś pod nosem, ale więcej nie protestował.

Znowu przeniosła wzrok na Wintera.

– To do nas zwraca się CIA, kiedy potrzebuje... zlecić pewne zadania na zewnątrz. Panacea Group to prywatna firma, wyszukujemy niekonwencjonalnych agentów. Cieszymy się pewnym marginesem swobody, którego nie posiada nasza związana z rządem kuzynka. Mniej biurokracji, więcej finansowania, że tak to ujmę. Możliwość wykonywania szybszych ruchów. Bierzymy wszystko, co nie mieści się w politycznym formacie CIA.

– Pani naprawdę mówi poważnie – wymamrotał Winter.

– Tak jak powiedziałam – odparła Sauda.

– CIA.

– Panacea Group.

– Panacea. Jasne. – Winter potarł czoło. – To standardowa procedura? Porywanie ludzi i trzymanie ich w niepewności? To w ogóle jest legalne? Chyba zdają sobie państwo sprawę, że za godzinę wiadomość o moim zaginięciu ukaże się w czołówkach serwisów informacyjnych na całym świecie.

Sauda pochyliła się do przodu.

– Zapewniam, że gdy tylko skończymy tę rozmowę, podwieziemy pana, dokąd tylko pan zechce.

– A rozmowa dotyczy?

– Potrzebujemy pana pomocy.

Na te słowa w gardle Wintera urosła bańka śmiechu i po chwili wydostała się na zewnątrz w postaci krótkiego szczenięcia.

– Okej. Świetnie. – Pokręcił głową. – Jeśli to Claire znów wykręciła mi numer, zastrzelę ją, jak tylko wydostanę się z tego samochodu.

Kobieta się nie roześmiała. I coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że i Winterowi nagle przestało być do śmiechu. Autentyczna powaga, której nie mógł zignorować.

– Nazywasz się Winter Young – powiedziała, nagle przechodząc na „ty”.

– Zgadza się. Imponująca praca wywiadowcza.

– Jak sam dobrze wiesz, jesteś jedną z największych gwiazd popu na całym świecie, z ogromną rzeszą fanów. – Splotła ramiona na piersiach. – A jedna z tych osób bardzo nas interesuje.

Winter również skrzyżował ramiona na piersiach.

– Ach, tak?

– Od kilku lat przyglądamy się działalności osobnika nazwiskiem Eli Morrison. Kojarzysz?



Brzmiało mgliście znajomo.

– Nie bardzo.

– Eli Morrison to jeden z najbogatszych ludzi na całym świecie – wyjaśniła Sauda. – Jego spedycyjne imperium jest warte trzydzieści siedem miliardów dolarów. W przeszłości CIA próbowała go aresztować, ale z marnym skutkiem.

– Nie wiedziałem, że transport towarów jest nielegalny.

– Niektórych owszem. Jak narkotyki. Ludzie. Broń. – Uśmiechnęła się ponuro. – Wolimy określać tego rodzaju działalność mianem przemytu.

– A co, u licha, ma to ze mną wspólnego?

Sauda zachowała niewzruszony spokój.

– Córka Morrisona, jedynaczka i oczko w jego głowie, niedługo kończy dziewiętnaście lat. Jej ojciec planuje kilkudniowe obchody, przy których, wybac precyzyjny cytat: „wszystkie inne imprezy urodzinowe w dziejach będą wyglądać jak dupa z za krzaka”. – Po czym, wskazując na niego ruchem głowy, dodała: – Jest twoją największą fanką.

Winter poczuł ciężar w piersi.

– Często słyszę podobne słowa – mruknął.

– Akurat w tym przypadku prawdopodobnie oddają prawdę. Za jakieś osiem godzin ludzie Morrisona odezwą się do ciebie i twojej menadżerki z propozycją prywatnego koncertu w związku z obchodami urodzin.

„Występ dla córki gangstera. Hm, a to coś nowego”.

– Gdzie? – zapytał. W gardle mu zaschło. – I kiedy?

– Za miesiąc. W Londynie. Zaproszonych jest dziesięć tysięcy gości. Dotrą na miejsce flotą prywatnych samolotów.

– O w mordę.

– Mówiłam, że szykuje się spora impreza. – Sauda wzruszyła ramionami. – Przez cały ten tydzień, jak zapewne sobie wyobrazasz, środki bezpieczeństwa będą wyjątkowo zastrzone.

Powiódł wzrokiem od niej do Nialla.

– A ja mam robić za waszą wtykę?

– Zgadza się – potwierdziła Sauda. – Weźmiesz udział we wszystkich wydarzeniach.

– A na czym polega moje zadanie?

– Pomożesz nam zdobyć kluczowe dowody, dzięki którym aresztujemy Elego Morrisona.

Winter uniósł brew.

– To wszystko?

Kobieta nieznacznie się uśmiechnęła.

– Nie będziesz zwykłym gościem, Winter, ale gościem specjalnym, na osobiste zaproszenie córki Elego Morrisona, w jego oczach najcenniejszej osoby na całym świecie. Zapewne będziesz co wieczór siedział obok nich przy stole i chodził na wszystkie prywatne imprezy wieńczące główne wydarzenia. Taka okazja nie zdarza się co dzień.

Winter odchylił się na oparcie.

– To ja jednak podziękuję.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Proszę, byś to przemyślał.

– Właśnie myślę. Właśnie skończyłem myśleć. Odpowiedź nadal brzmi „nie”.

– Panie Young...

Winter utkwiał wzrok w szybie.

– Zatrzymajcie samochód i wypuście mnie.

Sauda popatrzyła na niego z niezachwianym spokojem, jakby przewidziała jego reakcję.

– Trzepot motyli skrzydeł może zmienić świat. – Nagle w jej głosie pojawił się łagodniejszy ton. – Twój brat. Artemis Young. Korpus Pokoju. Zgadza się?

Winter zamarł, cały sarkazm uleciał z niego bez śladu.

– Ostrożnie – odparł cicho. – Wchodzisz na bardzo grząski grunt.

– Często opowiadał o tobie kolegom – podjęła. – Mówił, jaki jest z ciebie dumny, ale ty zawsze szukasz czegoś więcej, jakiegoś celu, uzasadnienia własnej wartości. Podejrzewam, że nawet teraz, mimo zdobytej sławy, czujesz, że jeszcze tego nie znalazłeś.

Jej słowa zabrzmiały w uszach Wintera tak, jakby wypowiedział je sam Artie. I nagle zobaczył jego ducha, siedział obok w samochodzie, rozparty na tylnym siedzeniu, przyglądał mu się z lekkim uśmiechem. Ku własnej irytacji i całkowicie wbrew woli Winter poczuł wilgoć w kącikach oczu i ucisk w gardle.

– Dlaczego wywlekasz informacje na temat mojego brata? – spytał zachrypniętym głosem.

– Ponieważ przypuszczam, że wielu rzeczy o nim nie wiesz – odparła Sauda. – Na przykład na temat okoliczności jego śmierci. A pewnie chciałbyś się dowiedzieć.

Świat się zakołysał. Noc za oknami samochodu wydawała się dziwnie zamazana.

– Artie zginął podczas misji Korpusu Pokoju w Boliwii – powiedział z wolna.

– Na pewno?

Serce waliło mu jak oszalałe.

– A nie?

Wyraz twarzy Saudy złagodniał.

– To nie jest stosowny czas ani miejsce, by zdradzić ci wszystkie szczegóły. Poza tym może wcale nie chcesz wiedzieć. Powiedz tylko słowo, a odwieziemy cię do hotelu, nie zadając więcej żadnych pytań. – Kiwnęła głową. – Ale jeśli pragniesz poznać prawdę, będziesz musiał podpisać kilka papierków. A w tym celu może zechcesz jednak rozważyć moją propozycję.

Już nic nie miało sensu. Ręce mrowiły, nogi i ramiona były jak odrętwiałe. Artie, który zawsze walczył w imię większej sprawy, który nigdy nie przechwalał się swoimi osiągnięciami. Winter czuł się jak w koszmarze, jakby zobaczył życie brata zniekształcone niczym w krzywym zwierciadle.

A jeśli Sauda mówiła prawdę? Co przydarzyło się Artiemu? Dlaczego zatajono prawdziwą wersję wydarzeń? Dlaczego Sauda ją знаła? Miał ochotę wykrzyknąć jej te wszystkie pytania prosto w twarz, zażądać, by powiedziała, co przed nim ukrywa. Ręce mu się trzęsły od powstrzymanych emocji, oddech był płytki i nierówny, łzy cisnęły się do oczu.

Zawstydzony, otarł je niecierpliwym ruchem i wrogo łypnął na Saudę.

– Wykorzystywanie mojego brata przeciwko mnie to raczej kiepska zagrywka.

Wciąż wyglądała na nieporuszoną.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę. Nic osobistego.

– Wszystko jest osobiste.

– Liczy się wyższe dobro. – Przekrzywiła głowę na bok. – Coś, o czym, jak wiem, nieustannie myślisz.

Skrzywił się i odwrócił wzrok. Serce zacisnęło mu się w supel.

– Jestem zwykłym artystą rozrywkowym – wymamrotał.

– Jesteś idealnym szpiegiem.

Miał dosyć.

– Jestem dokładnie kimś przeciwnym – warknął. – Chyba rozumiesz, prawda? – Pomachał jej ręką przed twarzą. – Czy sedno waszej pracy nie polega na tym, by pozostawać w cieniu, nigdy nie rzucać się w oczy, robić swoje w ukryciu?

– Tak, to bardzo niewdzięczna praca – przyznała Sauda.

– Cóż, cała moja kariera opiera się na rozpoznawalności.

Sauda pochyliła się w jego stronę. W jej oczach zapalił się intensywny blask.

– A czym jest operacja wywiadowcza, jeśli nie przedstawieniem? Potrafisz robić show, kierować wzrok publiczności tam, gdzie chcesz. Umiesz panować nad tłumem, szybko zmienić strategię, gdy coś idzie nie tak, zmienić całą swoją osobowość w zależności od charakteru widzów. Umiesz kłamać na oczekaniu. A najlepsze, że nikt by cię

nie podejrzewał. Oto piękno bycia niekonwencjonalnym szpiegiem. – Postukała się w skroń paznokciem pomalowanym na wiosenną zieleni. – Pozwól sobie myśleć odważnie, Winterze Young. Może ci się wydawać, że ty działasz w świetle reflektorów, a ja w ukryciu, możliwe jednak, że przynależymy do tego samego miejsca.

Winter z trudem przełknął ślinę.

– Nie mogę – wyszeptał.

– Przyglądasz się własnym osiągnięciom i pytasz, na czym właściwie miałyby polegać ich wartość. Całe noce leżysz bezsennie, czując wdzięczność i wyrzuty sumienia wobec fanów, zastanawiasz się, czy twoje życie ma znaczenie. – Sauda znowu pochyliła się ku niemu. – Wiem, że chciałbyś czynić dobro. Być dobrym człowiekiem.

– Nie jestem Artiem – mruknął.

– Masz jego serce. – Wskazała palcem na pierś. – Czegoś poszukujesz. Może uzasadnienia.

– A ty uważasz, że je znajdę dzięki pracy dla ciebie.

– Sądzę, że możesz znaleźć satysfakcję w świadomości, że wykorzystujesz własną sławę w walce o sprawiedliwość, tak. – Wygięła usta w lekkim uśmiechu, który jednak skrywał coś tragicznego. – Może bezinteresowny, dobry uczynek jest właśnie tym, czego szukasz.

Długo milczał, wpatrzony w pasy światła i cienia rytmicznie przepływające przez wnętrze samochodu.

– Mam nadzieję, że nie każesz mi nikogo zabić – wydusił w końcu.

Kąciki jej ust drgnęły z rozbawieniem. Oparła się wygodnie.

– Tego typu zleceń nie będzie, obiecuję. Morrison bez wątpienia każe ci skorzystać z usług jego techników przy budowie sceny. I ograniczy liczbę twoich tancerzy i reszty ekipy. Ale możemy dać ci do pomocy kogoś z naszych ludzi, kto będzie udawał twojego ochroniarza. Nawet mam już idealną osobę do tego zadania.

– Czyżby?

– Nazywamy ją Szakal.

Winter uniósł brew.

– Milutko.

– Nie jest milutka – odparła równie oschle Sauda. – Ale jest świetna w tym, co robi.

Agentka Panacei w roli jego ochroniarce. Ograniczona liczba jego własnych współpracowników. Na pewno śnił. Zaraz obudzi się w hotelowym łóżku, zlany potem, obraz tej kobiety i tego samochodu po chwili się rozwieje. To jakieś szaleństwo – niby czemu miałyby godzić się na to wszystko? Teoretycznie prowadził obłudnie udane życie. Mógłby spokojnie do niego wrócić, nie zgadzając się na żądania tych agentów. Mógłby się zmusić, by zapomnieć, co ta kobieta mówiła na temat Artiego. I tak nic go mu nie zwróci.

– Nie musisz od razu się zgadzać – powiedziała cicho Sauda, bacznie obserwując wyraz jego twarzy. – Musisz tylko być ciekaw poznania prawdy.

„Ciekaw poznania prawdy”.

Czuł się tak, jakby balansował nad przepaścią z opaską na oczach, próbując coś przez nią dojrzeć. Czuł, jak znowu budzi się w nim ten wieczny niepokój, zachłanny i nienasycony.

„Bezinteresowny dobry uczynek”.

– Mojej matce nie może się stać nic złego – oznajmił wreszcie.

– Załatwione.

– A mój zespół i obsługa, jeśli będę mógł kogoś zabrać, dostaną ochronę.

– Tak jest.

– Chcę też niezły samochód.

– Możemy zacząć od mazdy.

Cóż, zawsze warto próbować. Winter popatrzył na jej spokojną, opanowaną twarz. Jak ci ludzie wytrzymują? Jak można wiecznie pozostawać w cieniu, dzień za dniem wykonując pracę, która nigdy nie doczeka się uznania?

– Będę tego żałował, prawda? – spytał Winter.

– Niewykluczone.

Westchnął.

– Jak poznam prawdę?

– Musisz podpisać umowę, rzecz jasna – odparła Sauda. – Oczywiście cała ta rozmowa jest ściśle tajna. Dyskrecja obowiązuje cię do czasu, aż uznamy, że już nie jest konieczna.

Winter wyduł wargi.

– Umowa. Nareszcie coś, co rozumiem.

– W takim razie świetnie się dogadamy. – Posłała mu uśmiech. – Witamy w Panacea Group.